

JESTEM SZCZĘŚLIWIE ZAJĘTY

(Z dzienników roku 2016)

DZWONIŁ JUREK PRESS. A to miła niespodzianka! Jest w Warszawie? „Jestem w Tel Avivie”. Dzwoni, bo oboje z żoną przeczytali ze wzruszeniem *Powrót do bezsennych nocy*. Poprzedni ich telefon, kilka lat temu, też był po tym, jak coś przeczytali – wywiad przeprowadzony przez Donatę Subbotko: *Lekkie śwędzenie sumienia*. Jako ludzie doświadczeni wiedzą, że autorowi należy się jakieś pokwitowanie. Znają to środowisko. Jurek i jego żona zajmowali się Markiem Hłaską podczas jego pobytu w Izraelu. Przypomina, że ma 86 lat. „To niby tylko siedem lat różnicy – mówi – ale to bardzo dużo. Kiedy zaczęła się wojna, ja byłem w trzeciej klasie, a ty zostałeś komendantem domu”. (Ciekawe, że w wielu notatkach o mnie podaje się to właśnie: *w oblężeniu był komendantem domu*; wybrany przez lokatorów!; mogę się uważać za kombatanta kampanii wrześniowej). Informuję Jurka, że wyszło wznowienie *Brulionów*. „Mam to!” Dodaje: „Na widocznym miejscu”.

Wczoraj półtorej godziny w Czytelniku z p. Jerzym Nussbaumem, „korczakowcem” z Kanady, ślad naszych poprzednich spotkań znajduje się w dziennikach. Jestem, ze względu na wiek, źródłem wiadomości. Czy wie, co to był za budynek Nowolipki 7? Nie bardzo. Mieścił się tu „Nasz Przegląd”, a więc i „Mały Przegląd”, jego piątkowy dodatek. Dwadzieścia lat temu przyprowadziłem pod ten dom miłośników Korczaka z Japonii. Nie ma już tego domu, zburzono go, zawadzał, coś tam oszklonego postawiła osiadła w pałacu Mostowskich policja (dodam, że dawniej była w nim milicja, wbiło mi się w pamięć pewne przesłuchanie w tym pałacu, po rewizji u mnie). Domyślam się, że p. Nussbaum nie bardzo orientuje się w mojej pisaninie, nie zna dzienników, Nowolipia, pewnie i Montaigne’a. Przychodzi do „Czytelnika” jego sześćdziesięcioletni, mocno zbudowany przyjaciel, nazwiska nie dosłyszałem, kilka dni temu dowiedział się, że jest Żydem. I teraz szuka własnych korzeni. Znam jeszcze kilka szukających korzeni osób (na ogół to kobiety) – być Żydem to wprawdzie niezbyt wygodne, ale ciekawe.

PROKURATURA W BIAŁYMSTOKU umorzyła postępowanie wobec maszerujących ONR-owców (krzyczeli: „A na drzewach, zamiast liści, wisieć będą syjonisci!”) i wobec młodego księdza, który do zebranych mówił o „żydowskim motłochu”. Prokuratura nie dopatrzyła się w tym zachowaniu przestępstwa. Jest pomysł, by uprzedzić tych sięgających po wzory z Hitlerjugend, że kiedy Polska znormalnieje, będą musieli przejść przez proces denazyfikacyjny. Podobno pomysł na Facebooku chwycił, jest mnóstwo dopisów.

Taki proces powinien czekać także dygnitarzy, którzy rodzimych hitlerowców wspierają, uniewinniają, chronią.

Chyba powinienem zacytować artykuł Adama Leszczyńskiego (w „Wyborczej”, 27.09): *Światopogląd prezesa IPN*. Ten pan, Jarosław Szarek, który objąwszy prezesurę, od razu usunął z IPN historyków, którzy opublikowali dokumenty dotyczące zbrodni w Jedwabnem, wydał z żoną książkę *Elementarz małego Polaka*. Leszczyński cytuje: *Mimo że byliśmy jednym z największych i najsilniejszych państw w Europie, nigdy nie pragnęliśmy panować nad innymi narodami... Pan Szarek, dla dobra „małego Polaka”, fałszuje historię – bo chyba ją przecież zna. Może nawet czytał *Ogniem i mieczem*. (Nie ręczę). Leszczyński zauważa: *Z całej tej książeczki nie sposób się dowiedzieć, że w tym ogromnym kraju mieszkał ktoś, kto nie był Polakiem i katolikiem. Nie ma o tym ani słowa. Jeśli zaś chodzi o polskie ambicje panowania nad innymi narodami, to wielu Litwinów, Białorusinów i Ukraińców mogłoby mieć w tej sprawie inne zdanie niż prezes IPN*.*

Coś w tym stylu usiłowali narzucić dzieciom partyzanci Moczara. Ale się nie udało. Bo była pewna znacząca różnica w rzeczywistości. Wprawdzie Polacy też mieli obowiązkowo być bohaterskim narodem, ale ze Związkiem Radzieckim na czele. I był jeszcze dom, rodzice i dziadkowie, którzy tej partyzanckiej religii nie podzielali. Przedstawiali w zaciszu domowym inną prawdę. I dzieci wiedziały, że z tą inną prawdą, domową, nie należy się w szkole „wychylać”. Teraz tego nie będzie. Nikt nic nie sprostuje. Bo po co? Jak ucza, że nasi najlepsi, najszlachetniejsi, najwięcej cierpieliśmy, zawsze niewinni, a tamci (wiadomo kto) szkalują nas – to można to przyjąć, nie mędrkować, dobra nasza.

Być może wróć jeszcze do tego, jaką historię szykuje polskim dzieciom pan prezes. Temat pociągający. Ale czas przerwać, minęła północ.

W KATOWICACH NA 19. PIĘTRZE HOTELU „QUBUS”. Zawiozła mnie tam pani Magda Bargłowska, ta, z którą wymieniałem maile w sprawie okładki. Wyobrażałem ją sobie inaczej: jako oschłą besserwiserkę – wie, co jest dobre dla książki, jaka ma być okładka, jaki tekst na ostatniej stronie. A tymczasem – samo ciepło. I atrakcyjność gołych nóg.

W pokoju jest Internet (z którego nie korzystam), ale nie ma czajnika. Dzwonię do recepcji. Ależ proszę bardzo, pokojówka przyniesie czajnik. Ciekawe, czy przyniesie kubek lub jakąś odpowiednią do parzenia herbaty szklankę? Pukanie: pokojówka przyniosła na tacy czajnik i dwie filiżanki. Czyli przewiduje się ewentualnego gościa. Znowu pukanie. Następna pokojówka, młoda, uśmiechnięta: przyniosła kubek. Dzwonię do recepcji z podziękowaniem: mam wszystko czego mi trzeba.

W pokoju chłodno. Budzę się wielokrotnie. O siódmej decyduję, że mogę wreszcie wstać. Udało mi się znaleźć w telewizorze TVN24. Jest mowa o nowej ustawie PiS, „regulującej” chaos w Trybunale Konstytucyjnym. Wszystko już mogą uchwalić – i będą uchwalać.

Pani Bargłowska pyta, czy będzie nowy dziennik? Nie – bo po co? Ach, chciałaby mieć mojego Boya, nigdzie nie można tej książki dostać. Obiecałem jej przywieźć egzemplarz do Krakowa, w którym będą następne targi.

Profesor Jan Małecki, z którym poznaliśmy się podczas poprzedniego mojego pobytu w Katowicach, wręcza mi wydaną przez Bibliotekę Śląską książeczkę, której się nie spodziewałem: duże „H” na białej okładce i tytuł: *Józef Hen. Bibliografia w wyborze*.

Dowiedziałem się z niej, że wydane w 1955 roku opowiadanie *Zrenice jego oczu*, które miało dwa przekłady rosyjskie i przekład chiński (z rosyjskiego!), w numerze poświęconym Ibsenowi – mam nadzieję, że mnie z nim nie pomylili!, doczekało się też przekładu litewskiego – nikt mnie o tym nie poinformował.

Obiad w restauracji „Stare i nowe”, jest obecna pisarka ze Szwecji, Catharina Ingelman-Sundberg, pod opieką specjalnie wydelegowanej pracownicy wydawnictwa. Nic dziwnego: autorka dziewiętnastu kryminałów! Europejska sława. Pytam, jak jej się podoba Alice Munro? Jak pan mówi? Munro? Autorka dziewiętnastu kryminałów nie słyszała o takiej pisarce. Rozmawiamy trochę o Finlandii. Ten temat panią Catharinę interesuje, jej matka jest z Finlandii.

Spotkanie na targach nieoczekiwanie tłumne (są i widzowie na stojąco, zabrakło krzesłek). Prowadzi p. Maciej Szczawiński, dobrze mi znany radiowiec. Ulżyło mi, wręcz ucieszyło, kiedy powiedział, że włączenie do książki notatek z Rzymu z 1961 roku „to świetny pomysł”. Kilka osób to potwierdziło. A ja miałem wątpliwości.

Jest p. Marek Przybylik, chyba jako wydawca. Rozmawiał przed chwilą telefonicznie z Grzegorzem Miecugowem, swoim szefem ze „Szkła kontaktowego”. Wspomniał mu, że tu jestem. I dzięki temu dowiaduję się, czego w ogóle się nie domyślałem, że jestem autorem chętnie przez Miecugowa czytany. (Teraz, kiedy przepisuję tę notatkę do komputera, pan Grzegorz już nie żyje, wypowiedź jego nabiera znaczenia, dlatego ją zamieszczam, proszę wybaczyc).

Potem w sali koncertowej. Nagroda dla Filipa Springera za reportaż *13 pięter*. Koncert saksofonistów. Jest Wojciech Karolak, z którego ojcem, znakomitym grafikiem, Jerzym Karolakiem, zaprzyjaźniliśmy się w Krakowie. Byłem kiedyś u nich w domu, widziałem tego chłopca, który teraz jest znakomitością. Może sobie pogadamy. Saksofoniści czczą Ptaszyna-Wróblewskiego. Osiem saksofonów – straszny huk.

Przy winie wyznałem komuś, że ja jednak jestem z innej epoki, wolę słuchać Gershwina, Berlina, Armstronga.

Tak, z innej epoki. Kiedy Filip Springer odbierał nagrodę, w trampkach, w koszuli, na której krzyżowały się szelki, zwierzyłem się siedzącej obok p. Magdalenie: „A ja się zastanawiałem, czy nie powinienem być w ciemnym garniturze”. W którym, dodam dla uspokojenia, nie lubię bywać.

„Czy jest pan zadowolony?” – spytała mnie pani Sonia Draga. „Ważne, żeby pani była zadowolona”. „Ja jestem zachwycona”.

W NIEDZIELĘ ZGŁASZA SIĘ RANO p. Magdalena Bargłowska, żeby odwieźć mnie taksówką na dworzec. Musimy się wybrać na godzinę przed nadejściem pociągu, bo w Katowicach maraton, ulice będą pozamykane. Bilet dała mi wczoraj ta pani Justyna, która opiekuje się szwedzką autorką kryminałów. Pamiętam: wagon 6, miejsce 95, u okna. Pociąg z Gliwic przyjeżdża z 20-minutowym opóźnieniem. Nie pozwalam pani Magdzie odprowadzić mnie do przedziału, żegnamy się czule przed wagonem.

Warszawa. Wsiadać trudno, bo schodki poniżej peronu. Jakaś młoda osoba za mną: „Pomóc panu?” Dziękuję, nie trzeba. Dałem radę. Madzia na peronie.

W Warszawie też maraton, nie ma wjazdu do Alej, krążymy taksówką po Marszałkowskiej, wreszcie udaje się dotrzeć do Chopina, jest jeszcze kawałek do domu, dojeżdżamy. Madzia dźwiga mój bagaż, to nie walizka, nie neserek, to zielona płócienna reklamówka; Madzia zgorszona.

W domu usadza mnie w fotelu. „Tato, odpoczywaj”. Nachyla się i rozwiązuje sznurowała w pantofli. Nie okazują wrzucenia. Ale ona wie, co robi i dlaczego. Herbata.

PONIEDZIAŁEK (3.X). TYSIĄCE KOBIET NA PL. ZAMKOWYM W WARSZAWIE i w kilku innych miastach – „Czarny Protest” przeciwko planowanej ustawie antyaborcyjnej. Minister spraw zagranicznych komentował to na zwykłym swoim poziomie („bawią się”), w sferach rządowych czuje się jednak panikę. Tym razem na ulicę wyszły młode kobiety, oburzone, czasem wściekłe. Wszystkie z parasolkami.

Jest deszcz, wiatr, jedziemy z Madzią na al. Wyzwolenia, tuż przy pl. Zbawiciela, ma być otwarcie księgarni „Korekty” założonej przez Sonię Dragę. Wszystkie panie w czerni. Przyniosłem p. Jedlińskiej *Nowolipie* i *Najpiękniejsze lata*. Z p. Sonią rozmowa o wznowieniu *Króla* i być może *Pingpongisty*.

W nocy objawy przeziębienia.

W środę przychodzi młody kurier, przynosi prostokątne pudełeczko – co to może być? – koniak od p. Jedlińskiej, „Remy Martin”. (Który budzi we mnie sentymentalne wspomnienie, w skąpych czasach ofiarował mi taką butelkę Giko, a kiedy opróżniliśmy ją, Rena poszła do elektryka-lampiarza na Hożą, zrobił z niej zgrabną lampkę nocną). Jest liścik od p. Agnieszki: *Z podziękowaniem za książki – i uroczy wieczór*.

Od dr. Grodzickiego wskazówki. Isla. Flegamina. Scorbolamid. Mierzenie ciśnienia. Noliprel 0,5. Bisocard 0,25. Poza tym (od okulisty): krople do oczu rano i wieczorem. Z rana – „Zuma”. Dużo picia. Gdyby wykonywać skrupulatnie to, co zapisują lekarze, nie byłoby kiedy żyć. Bo jeszcze trzeba trzy razy dziennie jeść – niektóre leki „po posiłku”, niektóre „w trakcie posiłku”.

Dzwoni Donata Subbotko: przesłała mi wywiad do autoryzacji. Oni chcą to dać w najbliższą sobotę – taka nagła decyzja – numer jest już złamany. „Ale ja jestem chory”. „Do jutra muszę to mieć”. Zbiorę się do tego, trudno.

Wieczorem jestem gotów. Dzwonię do p. Donaty, komentuję kilka spraw. To wtedy podzieliłem się z nią doświadczeniem, że „nic tak nie leczy skutecznie jak praca”. Przypomniało mi się, jak pozbyłem się wysokiej gorączki podczas 30-kilometrowego marszu zimą na Kozaczyźnie (rozdział *Oszust w Najpiękniejszych latach*). Tak, tylko że wtedy miałem 18 lat.

PIĄTEK MINĄŁ NA OCZEKIWANIU. I na niepewności: czy na pewno wywiad się ukáže. To nie był niepokój, jaki cechuje debiutanta, niepokój kogoś, kto chce zobaczyć

swoje nazwisko w druku. To był niepokój pisarza żyjącego w tych właśnie czasach, tu i teraz, którego książki są przemilczane także w bliskim mu środowisku. Gra o podstawy istnienia.

W sobotę wstałem po siódmej. Spokojnie systematycznie robię to, co powinien robić posłuszny pacjent. Jeśli wywiad jest, zadzwoni Uchański.

Przed dziesiątą telefon. Uchański. *Przeczytałem. Genialne.*

I potem mowy nie ma, żeby coś notować. Cały dzień pod znakiem wywiadu. Mail z Brazylii od p. Soleckiego (czyli odbiór elektroniczny). Beata, wśród innych komplementów, że „odważny”. To słowo powtarza się w kilku esemesach. Madzia wstępuje do mnie z kilkoma egzemplarzami i z książką Ziemowita Szczereka *Tatuaż z tryzubem*, którą chcę przeczytać.

„Odważny”. O, k...a! – jak przekazuje mowę swoich bohaterów Szczerek. – Co ja tam, cholera, powiedziałem?!

Nie spodziewałem się, że czegoś takiego dożyję, chociaż pisałem już przed laty, że grozi nam „anarcho-faszyzm”. (Kiedy to pisałem, nie istniał jeszcze żaden PiS i nie znałem nazwiska „Kaczyński”).

Jest o pani Jadwidze, matce prezesa, że kiedy zalecała synowi czytać *Milczące między nami*, nie przeszkadzał jej narrator dąbrowszczak. Że to, co on robi, to jest swoiste warcholstwo: „warcholstwo wobec racji stanu”. Powtarzam też, że „eksperci to tylko ludzie”, bywają między nimi i idioci.

Ewa W. przysłała mi różne wypowiedzi, które przejęła z internetu, kogoś mniej odporne mogłyby one oszołomić. Ale w tej beczie miodu jest i kilka łyżek dziegciu. Np. pan, który mówi, że w Izraelu „za antypolonizm nie karają”. Jakbym ja za to odpowiadał. Mniejsza o to, czy „antypolonizm” istnieje. Jeśli ktoś ma tam żal do Polski i Polaków (a iluż odczuwa sentyment i tęsknotę), to przecież nie wyraża się on we wzywaniu do nienawiści, nie pali się kukły Polaka. Ten pan pyta, dlaczego nie wyjeżdżam. „Po co żyć w kraju antysemickim?” I jeszcze: „Polska jest dla Polaków!” Nie będę temu panu tłumaczył, dlaczego to, co on pisze, jest prymitywne, neandertalskie. Obawiam się, że nie zdołam go przekonać – on wie swoje. Wierzy w to, co wygodne.

Gdyby czytał wywiad uważnie, natrafiłby na zdanie (które jest gdzieś u mnie także w dziennikach), że antysemityzm dla tej garstki Żydów w Polsce jest bez znaczenia, no, wprawia ich w zły humor – antysemityzm najbardziej szkodzi Polakom, bo zaciemnia im przyczyny zła – jest źle, bieda, artretyzm – winni są Żydzi. I oczywiście takie neandertalskie przejawy szkodzą wizerunkowi Polski.

Tak to już jest, że łyżki dziegciu psują smak miodu. Chce się polemizować, wyjaśniać, chociaż wiadomo, że to się nie uda. Szczególnie jeden długi wpis krytyczny (ciekawy przez to, że autor deklaruje, że ceni moje pisarstwo – wyraził to nawet trochę mocniej), podpisany „Kapitan Kirk”, oparty jest na nieporozumieniach – wobec mnie i wobec wydarzeń najnowszej historii. Wobec mnie: bo nigdy nie byłem, kapitanie Kirk, oficerem politycznym, byłem aktorem, tekściarzem i dziennikarzem, kierownikiem literackim teatru 10. dywizji w Rzeszowie; jako kronikarz tej dywizji brałem udział w forsowaniu Nysy, zawsze w stopniu szeregowca; potem redagowałem w tygodniku „Żołnierz Polski” działy sportu i humoru. Zamieszczałem humoreski w „Szpilkach”. I miałem szczęście, że z żadnymi „wyklętymi” się nie zetknąłem. (W Armii Czerwonej byłem kilka miesięcy, właśnie kiedy kończyłem 18 lat; z batalionu pracy, do którego jako obywatela polskiego mnie odesłano, uciekłem – do Uzbekistanu, do armii Andersa, groziła za to czapa: wszystko to może pan, kapitanie Kirk, znaleźć w autobiograficznej powieści *Nikt nie woła*, która czekała trzy lata na wydanie – nie mylić z filmem!). Owszem, po wojnie byłem zdania, że trzeba odbudować Polskę z ruin, uruchomić fabryki, wskrzesić uniwersytety, szkolnictwo, likwidować analfabetyzm, podaję kilka nazwisk osób wybitnych, i to działaczy podziemnych, które myślały tak samo (np. Gieysztor). A można jeszcze wymienić Mikołajczyka, Witosa, Kiernika, Stańczyka, Pruszyńskiego, przedwojennego wicepremiera Eugeniusza Kwiatkowskiego, który przybył z Rumunii, by pomóc w odbudowie Gdyni.

Kpt. Kirk nie zauważył, że list z 600 podpisami nie był skierowany przeciw „Listowi 34-ch”, ale przeciw dość prymitywnej, niepotrzebnie jąttrzącej kampanii Wolnej Europy. Nie jest prawdą, że dopiero jak partia zaatakowała „syjonistów” w 1968 (w 1967 pretekstem była wojna sześciodniowa) stała się dla mnie „be”, jak pisze Kpt. Kirk. Gdyby czytał moje dzienniki (ale ja nie wymagam!), to wiedziałby, że straciłem nadzieję, że u nas będzie „inaczej niż u nich”, już pod koniec 1947, kiedy po raz pierwszy uznano Tita za „psa łańcuchowego imperializmu”. Że nigdy nie wstąpiłem do partii, godząc się z tym, że nie będę faworyzowany. (Nie stracili wtedy jeszcze złudzeń moi koledzy, którzy przyszli do partii z Armii Krajowej – Witold Zalewski, Jerzy Piórkowski, Andrzej Braun, Romek Bratny, Tadeusz Borowski, Zbigniew Stolarek, Tadek Konwicky, z nieakowców – Woroszyński, Mandalian, Jeremi Przybora i parę innych niezłych piór).

Chyba gdzieś napisałem o tym, jak w grudniu 1944 w Rzeszowie, wezwany przez Informację w sprawie aktorów w naszym teatrzyku dywizyjnym, którzy rozsądnie się w nim zadekowali (wszyscy z przeszłością akowską) – poręczyłem za nich, podpisałem się, że ręczę za ich lojalność, póki ja będę ich dowódcą (dowódca miał 21 lat). Dzięki temu nie aresztowano ich, nie wywieziono. Kiedy w czerwcu 1945 przeniesiono mnie z teatru dywizji do gazety II Armii w Poznaniu (zamieszczałem w niej felietony *à la* Wiech), Wiesiek Smyk dał nogę. (Nikt go zresztą nie szukał, zapisał się we Wrocławiu na politechnikę, nie zmieniając nawet nazwiska). Dobrze by było, gdyby p. Kpt. Kirk poznał puentę tej sprawy, 24 lata później, po Marcu 68, nadeszła kartka od Kazika Wrony z Dolnego Śląska: *Masz u nas w razie czego schronienie, Ty i twoja rodzina. Nigdy nie zapomnimy tego, coś zrobił dla nas w Rzeszowie.*

(Teraz, kiedy mówię o Rzeszowie, przypomniało mi się coś, o czym nigdy nie pisałem. Także w swojej debiutanckiej książce. Powstało tam coś w rodzaju Klubu Literackiego. Kilkanaście piszących osób. Był wśród nich poeta bernardyn, o. Marek Pociecha. To nie pseudonim – nazwisko. Pamiętam, musiał to być grudzień 1944, wyszliśmy z ojcem Pocięchą na ulicę. W perspektywie, o kilkaset metrów, widać było kościół i przylegający do niego budynek klasztoru. Poeta zakonnik wyciągnął w tamtym kierunku rękę. „Niech pan popatrzy – powiedział. – W razie czego ma pan tam u nas schronienie”).

Co do wojny w Hiszpanii, to trudno, nie zgadzamy się z p. „Kirkiem” i nigdy się nie zgodzimy, jeśli będzie trwał przy swoim. Dąbrowszczacy to nie byli ludzie, którzy „bili się dla Stalina”. Nie bił się dla niego Orwell, nie bili się Malraux, Yoris Ivens, ani fotograf Capa, ani Dos Passos, ani szalona Hellgorn (w którą wcieliła się cudownie Nicole Kidman w filmie *Hemingway i Hellgorn*), ani Hugh, brat Konsula z *Pod wulkanem* Lowry’ego, ani bohater opowiadania Pruszyńskiego *Różaniec z granatów*. Co więcej, i w Polsce, i u Stalina uczestnicy walk w Hiszpanii byli prześladowani, aresztowano np. generała Komara, a Stalin kazał rozstrzelać Michała Kolcowa, autora książki *Dziennik hiszpański*. Nie oszczędziłby zapewne i „Waltera”, ale on, czyli gen. Świerczewski, był mu potrzebny do późniejszych zamysłów z Polską.

Stalin czy Związek Radziecki dla nich, bijących się z faszystami – to byli ci, którzy dostarczali broń. Za mało (gdy porównać z dostawami Hitlera i Mussoliniego dla generała Franco), ale jedyni.

Ewa w Toronto dostała kilka maili z Polski, m.in. od Philipa Boyesa, dziennikarza, z którym kiedyś się poznaliśmy: *Twój dziadek to jest super gość*. Ona zamieściła na fejsie ten wywiad, z dopiskiem: *Zawsze byłam dumna z dziadka. Teraz to już na maks*.

Dziś mail od prof. Andrzeja Romanowskiego. Że czytał (... i z pełną aprobatą). Przesłałem tę wypowiedź p. Donacie Subbotko. Odpowiedziała natychmiast. *Ciesz się, że tacy ludzie tak dobrze myślą o naszej rozmowie.*

STAŁO SIĘ COŚ, CO ZABURZYŁO CODZIENNOŚĆ, jest inaczej niż wczoraj, rozprysły się plany. Włączam rano telewizor: ZMARŁ ANDRZEJ WAJDA. Oczy mokre.

Ach, tyle byłoby do opowiedzenia. Od pierwszego pokazu *Pokolenia*, w małej salce na Puławskiej, w towarzystwie kilkudziesięciu związanych z kinem osób, w tym panie, które skierowały scenariusz do produkcji, teraz zeszytywniałe ze strachu – ulga, że film się

podoba, inna narracja, jakieś inne też aktorstwo, czuje się wpływ włoskiego neorealizmu. Głos zabrała prześliczna, młodzietka dziewczyna z AL, Bożena Puchalska (poznałem ją w 1953 w Bukareszcie podczas festiwalu młodzieży, była w ambulatorium polskiej delegacji, wraz z młodą lekarką Luśką Sztauber) – Bożena stwierdziła autorytatywnie: „Tak było!” Paniom redaktorom ulżyło.

Właśnie czytam, że p. Ryszard Legutko (profesor) potępia Wajdę jako konformistę, *Pokolenie* to był film „socrealistyczny”, w „GW” ktoś polemizuje, że odwrotnie – to był koniec „socrealizmu”. Ale cóż, Wajda to wróg, założyciel „Wyborczej”, chwalcza Wałęsy...

Minister kultury (i dziedzictwa narodowego, przypominam) milczy o śmierci Wajdy. Zauważył to nawet widz esemesujący do „Szkła kontaktowego”. Prezydentowi załatwiła sprawę „Kancelaria prezydencka”. „Zmarł wybitny polski reżyser. Cześć jego pamięci”.

Andrzej był przeciw nim. Protestował przeciw pochówkowi Lecha na Wawelu. Wspierał Bronisława Komorowskiego.

Wielu jego widzów najwyżej ceni *Ziemię obiecaną*. Ja mam wątpliwości, którym tu i ówdzie dawałem wyraz. (...) Bolesław Michałek, kierownik literacki filmu, był najwidoczniej wymową niektórych scen zaniepokojony. Chciał mi pokazać film przed premierą, żebym się na ten temat wypowiedział. Odmówiłem. „Nie chcę być cenzorem” – powiedziałem. Może nie należało odmawiać.

Od 2004 roku otwieraliśmy z Andrzejem regularnie międzynarodowy festiwal filmowy „Żydowskie motywy”. Z jego strony był to przejaw swoistej odwagi. Wyzwanie – w imię pewnych zasad, którym chciał być wierny.

DZWONIŁA MAGDALENA GRZEBĄŁKOWSKA. Dostała w tym roku Nagrodę Czytelników w konkursie Nike za bardzo interesującą, wydaje się, książkę faktograficzną – *1945. Wojna i pokój*. Okazuje się, że nie wiedziała o tym, że zarzuciłem jej kilka lat temu, iż przypisała Leninowi mordowanie kolejnych przywódców i wymazywanie ich ze wspólnych zdjęć. Była zdumiona, że to nie Lenin!... Mówię: Lenin nikogo ze swoich towarzyszy nie zamordował. Przeprowadził nawet chroniącą przywódców partyjnych ustawę. To dlatego Stalin jeszcze w 1929 nie ośmielił się Trockiego skazać na śmierć, zastosował karę banicji.

Okazuje się, że p. Grzebałkowska nie wiedziała też o konflikcie Gorkiego z Leninem. *Terra nova*. I to, że Gorki był po stronie rewolucji lutowej, socjaldemokratycznej, a przeciw październikowej, proletariackiej. I że Lenin, kiedy wróciły przyjazne stosunki, zmusił go do wyjazdu, bo nie mógł go już dłużej chronić. Polecam jej więc – z czystym sumieniem – *Bruliony profesora T.* „Ta książka, mówię, ma jeszcze drugi wątek, romansowy – może on pani nie przeszkodzi”. Roześmiała się.

Umawiamy się na przyszły tydzień.

W czwartek, odpowiednio ubrany (jak mi się zdawało), podreptałem do mojego banku przy Pięknej. Nie opłaty były najważniejsze, szło przede wszystkim o świadectwo o stanie konta, które p. Ola przedstawi, składając moje zaproszenie dla jej siostry Oksany. Madzia dała jej mój wywiad z „Wyborczej” – nie wiem, z jakim uczuciem p. Ola będzie to czytać, są w nim wzmianki o morderstwach, o czczeniu banderowców, ale p. Ola wszystko wie, nie ma w niej, jak mogłem się przekonać, uprzedzeń nacjonalistycznych, tym bardziej antypolskich i antysemitycznych, chyba odczyta spokojny ton, z jakim opisuję te tragedie, dotrze do epizodu, jak ukraińskie koleżanki ukryły nas w wagonie pod paltami i tobołkami, ratując nam życie (o czym nie wiedziały), epizod znany z *Najpiękniejszych lat*. I chyba czytając to, zauważy, że młody chłopak, Zacharewicz, pracując ze mną przy budowie drogi Lwów-Kijów, powiedział, jak o czymś zupełnie naturalnym: „Jak Nimec prijde, to ja tebe zariżu”.

A żeby pokazać, jaka ta Polska jest skomplikowana, warto dodać, że przedwojenny polski aktor o tym samym nazwisku, popularny amant, Witold Zacharewicz, zginął w Oświęcimiu.

Wciąż ktoś się odzywa po przeczytaniu rozmowy z p. Donatą Subbotko. Ktoś w księgarni, dziękując: „Powiedział pan to za nas”. (Czasem sam to tak właśnie odczuwam: znalazł się ryzykant, szaleniec, żeby powiedzieć to, co innym leży na sercu).

Dzwoniła p. Barbara Szajewska, profesor. Czy ją kojarzę? Ależ tak, była z mężem, profesorem (już nieżyjącym) na kolacji u Irki Kowalik. Ona też w sprawie tego wywiadu. Z jednym tylko moim stwierdzeniem się nie zgadza... Kiedy wyrażam pewność, że nie będzie wojny. Nie podejmuję dyskusji. Pożyjemy, zobaczymy. Wojny nie będzie. To co będzie? Mistrzostwa świata w piłce nożnej.

Jakiś mędrzek, chyba w „Rzeczypospolitej”, uważa, że wojna lada chwila może wybuchnąć, wystarczy jakieś strącenie samolotu czy zatopienie kanonierki. Strącenia samolotu się zdarzają, zatopienie czegoś też może się zdarzyć – ale to nie znaczy, że wypowie się wojnę – wystarczy wyrazi ubolewanie, czasem odszkodowanie dla ofiar. Takie wydarzenia, jak zabicie arcyksięcia w Sarajewie, stają się pretekstem do wojny, kiedy strony chcą tej wojny. Tak było w 1914 roku. Mogło tej wojny nie być. Ale sztaby wojny chciały, tęskniły do niej.

NAPISAŁ DO MNIE P. MAREK GÓRLIKOWSKI, dziennikarz z „GW”, mieszka w Gdańsku, pisze książkę o fizyku Józefie Rotblacie, który dostał Pokojową Nagrodę Nobla. Za udział, jak mnie poinformowała Madzia, w ruchu antynuklearnym PUGWASH (z indiańskimi korzeniami w nazwie). Rotblat mieszkał na Nowolipkach, więc p. Górlikowski, pomyślał, że autor *Nowolipia* mógł znać tę rodzinę. Z wywiadu w „GW” dowiedział się, że moja wnuczka jest także wnuczką Leopolda Infelda, który z Rotblatem współpracował. I to skłoniło go, żeby do mnie zadzwonił.

Pan Górlikowski ma pełną tekę papierów po Rotblacie, który prowadził drobiazgowo zapiski, odnotowywał każdy drobny wydatek, wspomina też o wyjeździe do jakiejś Falenicy – co to za miejscowość, pyta redaktor gdańszczanin. Czy podzieliłem się z nim wiadomością, że moja siostra Stella nazywała tę miejscowość na linii otwockiej, lotnisko właściwie, F a l e n i c e a? Podałem mu numer telefonu Eryka, który może więcej wiedzieć o fizyku Rotblacie, a być może nawet znał go osobiście.

W sobotę (15.X) była pani Ola. Przedtem była u Madzi, zwróciła jej gazetę z wywiadem. Ona też podziwia moją „odwagę”. Spytała: „Czy ojciec się nie boi?” „On się boi tylko pani”. Stare sprawy, na to pani Ola, niewiele mnie to obchodzi. Zna moje związki z Ukrainą – dobre i złe – z *Najpiękniejszych lat*, które uważnie czytała.

A wczoraj pokazywali w jakiejś telewizji wielotysięczny marsz ku czci UPA – w Kijowie, nie we Lwowie – z żagwiami, groźnymi okrzykami, marsz nacjonalistyczny; nie powtarzано tego na żadnym kanale, nie było o tym mowy i w Euronews. Niewygodne.

Z p. Olą wspólnym wysiłkiem wypełniamy kwestionariusz dla niej. W rubryce „cel pobytu” proponuję: „Uchodźstwo”. Wybuchamy śmiechem. Bo właśnie pani premier próbowała przekonać Unię, że w Polsce jest „milion uchodźców z Ukrainy”.

Pan Waszczykowski (dla przypomnienia: minister spraw zagranicznych) wypowiedział się, że tzw. „komisja wenecka” obraża polski rząd – i społeczeństwo. „Czy czujesz się obrażona?” – pytam pewną panią, która na pewno jest członkiem „społeczeństwa”. „Ani trochę”. To jest ich stały numer, gomułkowski jeszcze: krytyka rządu jest krytyką Polaków. Wtedy nawet oni lubili, jak Polaków „szkalowano”: partia występowała w obronie godności Narodu.

CZYTAŁEM LISTY WCIŚNIĘTE DO KOPERTY „PARYŻ”. Niektóre podarłem – po co je zostawiać – dla kogo? – emocje chwilowe – były, minęły. Pewne fakty, stwierdziłem, całkiem uleciały z pamięci. Są kartki od Janusza Rogowskiego, brata Zbyszka („rog” w „Przekroju”), w którego M-2, jakiego zajmował z Iwoną, tłoczyło się czasem kilkanaście osób, czasem był wśród nich operator Mietek Jahoda, często Roman Wilhelm, świętny Nikodem Dyzma. Piękna Bożena Kędzierska, to ta dziewczyna, która zapadła widzom w pamięć, kiedy na początku filmu *Prawo i pięść*, stojąc w drzwiach wagonu, plecie długi jasny warkocz i uśmiecha się do oczarowanego nią Holoubka. Mój list do domu przypomina mi, że Anna Pozner, tłumaczka, przeczytała *Twarz pokerzysty* „jednym tchem”. (W maszynopisie, wywoziłem powieść w walizce! Nikt nie sprawdzał, co tam wiozę – takie

musiało być zalecenie nachodzącego mnie „Władzia” z kontrwywiadu, pozwolono mi wziąć ze sobą maszynę – niech jedzie, postanowiono, może tam zostanie... Zrobiłem im kawał – wróciłem). Były dwie znakomite recenzje w wyd. Albin Michel, Mme Pasquier, bardzo mi życzliwa, powiedziała, że decyzja jest na „nie”, polskie książki nie mają powodzenia. Julliard zwrócił nawet z wydaniem Hłaski. (Ale „Laffont” wydał w 1974 mój tryptyk *Oko Dajana* – bo to literatura „podziemna”, autor ukrywa się pod pseudonimem).

Kiedy Rena wybierała się do mnie do Paryża (pociąg, który stał całą dobę w śniegu w NRD, dowlókl się na Gare du Nord w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia 1969) – czym ja ją nakarmię? – ale okazało się, że święto nie święto, chrupiące bagietki w sklepie „Felix Potin” na rue Crussol muszą z rana być, a w Rotisserie gorący kurczak pieczony), napisałem do niej list, z wyodrębnionym tekstem dla Madzi i Maćka. Zostaną sami na gospodarstwie. Przepiszę go tu, bo może nadaje się do księgi, która powoli powstaje, a której chyba nie będzie.

Madziatko!

Syneczku!

Pamiętajcie, że pod nieobecność Mamy macie być rozsądni i poważni. Po jej powrocie dostaniecie 48 godzin pozwolenia na rabunek i ekscesy. Władzę dyktatorską otrzymuje Madzia. Gotować ma Maciek. Podczas gotowania nie wychodzić z kuchni ad finitum. Nieznajomych nie wpuszczać za próg (łańcuch!). Kawalerów pędzić!! Brylanty i złote zegarki przyjmować, ale tylko przez gońców w liberii. Papierosy nie istnieją. Zamykać na noc okna. Sprawdzać gaz. Nie czytać Prousta! Czytać Agatkę. (Idzie o Agatę Christie – mieliśmy ją po francusku).

W CZYTELNIKU Z P. GRZEBALKOWSKĄ. Pisze książkę o Komedzie i to jest powód, dla którego chciała się spotkać ze mną. Nie mam zbyt wiele o nim do powiedzenia, raz tylko byłem obecny, kiedy nagrywał ze swoim zespołem muzykę do *Perel i dukatów*. Przesiedzieliśmy jednak ze sobą (ja przy cappuccino, które p. Magdalena fundowała) ponad godzinę. Miała ze sobą *Bruliony*, ja przyniosłem *Twarz pokerzysty*, kryminał, w którym są realia tamtych czasów. Zaczęła od tego, że oglądała *Prawo i pięść* – „to jest dokładnie tak, jak w mojej książce” – to puste miasto, szaber. W *Twarzy pokerzysty*, informuję, zmieniłem Sopot na „Bagniska”, żeby się nie czepiali, że w Sopocie kto inny był burmistrzem czy szefem UB. Ale „sopot” to po kaszubsku właśnie „bagn”. „Wiem” – na to ona. Mieszka w Sopocie, rodzina pochodzi ze Lwowa. (Lwowiacy rozjechali się, nie wszyscy na Dolny czy Górny Śląsk – niektórzy, jak rodzina Huelle, na Wybrzeże).

Obejrzała sobie *Perty i dukaty* – świetne! – kilka razy wybuchła śmiechem. Holoubek grał jakby swoje przeciwieństwo, wtrącam uwagę: Polaka udającego Czecha, podczas gdy jest Czechem, który – co prawda, bez udawania – stał się Polakiem.

Jest wtorek, słyszymy, jak przy dwóch zestawionych stolikach gromadzi się tradycyjne towarzystwo wokół Krysi Kofty. Kiedy powiedziałem: „Kupię sobie pani książkę”, zawołała: „Mowy nie ma! Pan posiedzi przecież przy Kofcie, ja pobiegnę do księgarni i wrócę z książką”.

Ponieważ na „*Twarzy pokerzysty*” napisałem, że żałuję, iż tak ma ł o z y s k a ł a na rozmowie ze mną, pani Magdalena zareplikowała w swojej dedykacji: *NAWET PAN SOBIE NIE WYOBRAŻA, JAK WIELE ZYSKAŁAM DZIŚ W CZYTELNIKU...* Ładnie. Ucałowaliśmy się, co było puentą spotkania.

Zacytuję pewne fragmenty z felietonu Bronisława Łagowskiego. Najpierw o tym, że p. Andrzej Duda w przeddzień rocznicy (...) 1989 r. podał do wierzenia, że Polska odzyskała niepodległość dzięki Solidarności w 1989. Od wybuchu wojny pisze dalej Łagowski – do jej końca zginęło 6 milionów polskich obywateli, a od 1945 do „wyzwolenia” przez „Solidarność” przybyło 15 mln Polaków. Dalej: *Czy ludzie przybywa czy ubywa pisowski pan prezydent zasadniczej różnicy nie widzi. Do ogłaszania największych bzdur dygnitarze wybierają sobie sytuacje uroczyste, kiedy nikt nie śmie zgłaszać sprzeciwu. I jeszcze: W polityce amerykańskiej – przypisana Polsce rola harcownika na flance wschodniej – jest niezagrożona.*

DZWONIŁA PRZED CHWILĄ SŁAWKA ŁOZIŃSKA. Ma dwie sprawy. Pierwsza to ten wywiad (dobrze ocenia), twierdzi, że sprzedaż gazety tego dnia była wyjątkowo wyso-

ka. (??). I że jej znajomi najbardziej są wdzięczni za to, że powiedziałem, że nie będzie wojny. Szkoda, mówię, że nie było jeszcze wiadomości o podpisaniu przez Putina umowy z Turcją na eksport gazu, „jak się chce eksportować gaz, to nie robi się wojny”. Druga sprawa: jej przyjaciółka, 45-letnia aktorka (pomijam nazwisko i pewne dane), twierdzi, że jestem „przewodnikiem w jej życiu”. I marzy o moich podpisach na książkach. Czy będę we wtorek w Czytelniku?

„Przewodnik w życiu”! Nigdy nie myślałem o takiej odpowiedzialności. Człowiek sobie to i owo lekkomyślnie zapisuje, czasem żeby sobie ulżyć, wypowiedzieć się – i nagle okazuje się, że dla kogoś to jest bardzo serio, wskazówka, sprawdzian w ł a s n e j osobowości. To już teraz nie mogę zapisać, a cóż dopiero opublikować jakieś błahostki, głupstwa, a przecież człowiek ma prawo do odnotowania głupstw, wyrażania ich, utrwalania błahostek – one też (a może przede wszystkim) stanowią część naszego „ja”. Same „mądrości”, sama głębia – to by było nie do zniesienia. Dla siebie – i dla innych.

Józef Hen

Józef Hen, laureat Nagrody „Odry” za rok 2014, w naszej redakcji

